

Mały pasek światła był najpierw blady i nikły. Zaczął potem rosnąć, czerwieniąc coraz silniej, wreszcie bieleć, roztaczając po całym horyzoncie coraz bardziej złote blaski. Resztki chmur nocnej burzy, postrzępione, zdawały się uciekać przed rodzącym się dniem. Zarumienione, jakby wstydziły się swego ołowianego stroju, szły na zachód, ścigając uchodzącą noc.

Morze leżało przed nami, wzburzone, puste. Zarumieniło się i ono krwawo na powitanie wschodzącego słońca.

Nagle na horyzoncie z paska świetlnego, który tam już przybrał prawie białą barwę, wystrzeliły w górę jasne, oślepijące prawie promienie. Rozbiegły się one po niebie, ozłociły fale i... majestatycznie wstało słońce.

Mimo grozy położenia naszego, mimo rozpacz i troski, jaka mi duszę rozpierała, patrzyłem radośnie w to budzące się życie i na chwilę zapomniałem o wszystkim.

— Nic nie widać! Ale przynajmniej mamy ładną pogodę! — odezwał się Abraham, chcąc mnie pocieszyć. Po chwili dodał jednak pocichu: — Na Boga! jak wygląda nasz statek!

Spojrzałem na mówiącego, był blady, jakby przeżył ciężką chorobę. Drugi, Jakób, spał w niewygodnej pozycji w rogu pokładu. Na wołania Abrahama zerwał się i zaczął zabijać ręce, gdyż zmarł w zimnie nocy.

— To znowu będzie miła robota! — kłął i narzekał. — A opowiadają głupcom, że im dalej na południe, tem jest cieplej. No, za takie ciepło to dziękuję. To w styczniu na morzu Bałtyckim nie zimniej! Muszę najpierw napić się gorącej kawy, zanim zabiorę się do pracy.

Prędko rozniecił ogień na kominie i po chwili rozgrzewaliśmy się wszyscy gorącym aromatycznym trunkiem, poczem obaj marynarze zabrali się do naprawiania masztu i żagli.

Zatonięcie „Jutrzenki“.

Kiedy po długich usiłowaniach udało nam się ściągnąć maszt do statku, przekonaliśmy się, że jest o dziesięć stóp krótszy. Jak mogliśmy, nadstukowaliśmy brakującą część kawałkami drzewa i linami, poczem ustawiliśmy maszt na swoim miejscu i rozpięliśmy żagle. Umocniliśmy je jednak poprzecznymi drewnianymi drążkami, aby zmniejszyć nacisk wiatru. Zwróciliśmy potem kurs statku na południowy zachód, poczem podróż poszła w dalszym ciągu.

Wschodni wiatr wiał, niosąc wielkie zimno, jak w styczniu. Z początku dał bardzo słabo, koło dziesiątej wzmościł się jednak tak, iż Abraham raz wraz stroskanym wzrokiem badał nadwyreżony maszt. Horyzont zniknął powoli, zakryty podnoszącymi się oparami, a i niebo zaczęło pokrywać obłoki. Morze szumiało rozgłośnie, a fale, uderzając silnie w bok statku, zaczęły nim tak silnie kołysać, iż po raz pierwszy w życiu uczułem, że jeśli tak długo potrwa, dostanę morskiej choroby. Chcąc przeciw takiej smutnej ewentualności się zabezpieczyć, łyknąłem porządną porcję wódki. Tak mijały nam powoli godziny.

W południe, kiedy Abraham znowu odbywał swe pomiary, Helga zbliżyła się do mnie i dotknawszy się mego ramienia wskazała za siebie.

— Zagieli! Zagieli! — zawołałem. — Niestety znowu ze złej strony!

— Wydaje się jednak, iż on płynie ku nam zauważała Helga. — Czy nie dobrze by było wywieścić sygnał ratunkowy?

Zanim jeszcze domówiła ostatnich słów, rozległ się nad nami huk, jakby wystrzał armatni. Połowa masztu ułamała się i wpadła wraz z żaglem do morza, które podrzucało nami teraz, jak łupiną.

— Nie mogło nam się nic lepszego wydarzyć — szepnęła Helga. — Statek jadący ku nam zobaczy teraz, że jesteśmy prawie rozbitkami i musi się zatrzymać.

Klnąc i wymyślając zabraliśmy się po raz drugi do pracy, aby ratować urwany żagiel. Tymczasem nadpływający statek zbliżył się o tyle, że mogliśmy już dokładnie mu się przypatrzeć. Płynął równo i ciężko. Żagle górne były przymocowane na stałe

i zwinięte, zdaleka przedstawiały się jak wąskie obłoczki na rejach. Dolne żagle były rozwinięte i powoli obracały się za wiatrem. Wszystko było doskonale utrzymane.

— Pewnie sami dostrzegą, jaka u nas bieda. Dla wszelkiej pewności rozwinę jednak sygnał ratunkowy — zawołał Abraham.

— Panna Nilsen i ja postanowiliśmy przesiąść się na nadpływający statek, jeśli nas zechcą zabrać — zwróciłem się do Abrahama i Jakóba. — Nie weźmiecie nam tego za złe, nieprawdaż?

— Uznaję w zupełności, że zaczyna tu być dla was nie bardzo bezpiecznie — odpowiedział Abraham; — nie dlatego, że „Jutrzenka“ nie może was równie pewnie dowieźć do domu, ale wprost tęsknicie już za dobrem łóżkiem i jedzeniem.

— A wy? Czy jeszcze dalej obstajecie przy swej podróży do Australii? A jeśli tam z okrętu nie będą mogli dać wam potrzebnego kawałka drzewa?

— To pojedziemy dalej z tem, co mamy, aż spotkamy kogoś, kto nam dopomoże.

— Ludzie, jeszcze jedno chcę wam powiedzieć.



— Tomasz! Tomasz!

Wyjechałem z domu w tem, co miałem na sobie i przy sobie. Posiadam tylko pamiątkę po ojcu, zegarek, której nie chcę się pozbywać. Ale pamiętajcie, jeśli Bóg pozwoli, że szczęśliwie powrócicie do Anglii za dwanaście miesięcy, lub dwanaście lat, zgłóście się do banku w Tintrenale. Będzie tam leżało dla was pięćdziesiąt funtów.

Dwie grube ręce wyciągnęły się ku nam, ujęliśmy je, oboje silnie wzruszeni i uścisknęliśmy gorąco.

Pełni nerwowego niepokoju oczekiwaliśmy teraz na nadpływający statek. Nie zmienił on ani na włos swego kursu i płynął wprost ku nam. Zarzys jego, jeszcze trochę zamglone, ukazywały nam, iż jest to statek duży, na czarno pomalowany, wielkości „Aniny“. Wystawał on dosyć wysoko z wody, co wskazywało, że jest mało obciążony. Żagle i maszty urządzone były wzorowo.

Abraham dawał znaki chorągiewką i patrzył co chwila przez lunetę.

— Zdaje się, że stanie, związają bowiem duży żagiel, a także na rejach widzę ludzi.

Ciekawie przysłuchiwałem się uwagom Abrahama i dziwiłem się, jak z małych oznak dokładnie marynarze orientują się w pracy na statku. Istotnie też, kiedy okręt zbliżył się do nas na kilka długo-

ści, nagle żagle obróciły się. Wiatr wpadł w nie z przodu, żagle wydeły się, a statek zwolnił biegu. Cały manewr był wykonany tak dokładnie, iż nadpływający statek zbliżył się do nas bokiem na odległość rzutu, a po chwili spokojnie zatrzymał się.

Zauważyłem, że na obcym okręcie uwija się kilkunastu ludzi z ciemno-brązowymi twarzami, a jeden biały stoi na pokładzie, drugi zaś na pomoście kapitańskim.

— Hallooo! — zawołał ten ostatni.

— Na Boga! — zaczął krzyczeć Abraham — rzućcie nam linę, abyśmy mogli dopłynąć do was. Jesteśmy dotknięci nieszczęściem, a dwoje rozbitków chce dostać się na wasz okręt!

— Baczność!

Biały człowiek rzucił linę, którą Jakób pochwycił niezawodnym chwytem marynarskim. Chwyciliśmy za nią wszyscy i dowiekliśmy naszą łódź do boku obcego statku.

Wyczekałem chwili, kiedy nasz okręt na fali poszedł w górę, a tamten opadł i skoczyłem śmiało na pokład. Wyciągnąłem następnie ręce, aby pomódz

Heldze, która nie przyjąwszy pomocy Abrahama, skoczyła tak samo, jak ja, z godną podziwu zręcznością. Abraham na jej prośbę podał jej małe zawiniątko z jej rzeczami.

Mężczyzna z dużym, sumiastym wąsem zbliżył się do nas i dotknął ręką brzegu kapelusza, nie zdejmując go jednak.

— My jesteśmy oboje rozbitkami — zacząłem. — Ośmielam się zapytać, czy pan jest kapitanem statku?

— Tak jest — odpowiedział, przyglądając się bacznie Heldze. — Joppa Bunting, kapitan statku „Światło światła“ z Tamizy do Afryki.

— Kapitanie Bunting, bardzo wiele nieszczęść wycierpieliśmy i pragniemy obecnie gorąco dostać się nareszcie do domu. Ta pani opłakuje prócz tego śmierć ojca, który po zatonięciu „Aniny“ zmarł na tratwie, na której uratowaliśmy się.

— Głęboko współczuję, łaskawa pani. Niechże choć to panią pocieszy, że o ile doczesne życie szybko się kończy, o tyle wieczne trwa ciągle.

Na moje zapytanie, czy zechce nas przyjąć i wieść, póki nie spotkamy okrętu, płynącego do Anglii — odpowiedział uprzejmie:

— Ma się rozumieć! Dealski żaglowiec nie jest odpowiednim do podróży dla młodej damy.

W tej chwili na drabinie ukazał się Abraham, a za nim drugi biały człowiek, który, jak się później dowiedziałem, był pierwszym sternikiem na statku. Wyglądał on nieszczerownie, miał płowe włosy, bladą twarz z niebieskimi jasnymi oczami. Jedynie uro- maicenie stanowił jego pyrkaty nos, spalony do czerwoności przez słońce i wiatr.

— Co mogę dla was uczynić, mój kochany? — zwrócił się kapitan do Abrahama.

— Chciałby on dostać zapasową reję na maszt — wmieszał się sternik. — Oni płyną tym stateczkiem do Australii! Muszą zapewne być za to dobrze zapłaćeni!

Ostrem spojrzeniem zmierzył Abrahama.

— Ma się rozumieć! — przytaknął ten ostatni.

— Jestem przekonany, że tacy dotrą z tą łupiną, aż do Australii — rzucił kapitan, muskając wąsa z zadowolonym uśmiechem. — Za pieniądze Dealczycy gotowi są swą nieśmiertelną duszę zawieźć aż przed bramy piekła, pieniądze przepiją następnie u siebie i szczycić się będą jeszcze, że dyabła nawet potrafią wywieść w pole. Wiedz jednak, mój kochany, że mój okręt nie jest lasem, gdzieby rosły niepotrzebne drzewa. Jak się nazywacie?

— Abraham Vise.

— No — lakoniczny sposób mówienia kapitana wydał mi się trochę dziwnym — dostaniecie drzewo, jeśli tylko jakie się znajdzie. Mr. Jones niech wam pomoże szukać, ale spieszcie się.

— Państwo zaś, panie Tregarthen i panno Nilsen — zwrócił się do nas — proszę, zejdźcie ze mną na dół na szklankę wina. To wam dobrze zrobi.

(Ciąg dalszy nastąpi).